

Adam Właryga Minieski.

## Poza frontem

(Powieść z dni ostatnich).

30

## ROZDZIAŁ XVII.

— Panienko, a czemu to panienska nie świeci lampy?... Może nafty nima? Ja mam, to pożyczę. — mówiła Dorulowa, wsuwając głowę do pogrążonego w ciemności pokoju Heli.

Od czasu owej przeprawy z adwokatem, traktowała młodą nauczycielkę, nie jak obcą, ale jak „swoją“, specjalną troskliwość jej okazywała i za jej „pocziwość“ i „ludzkość“ zabić by się dała.

Zleby wyszedł na tem, ktoby w obecności Dorulowej jakieś złe, albo choćby tylko miedosć pełne uznania słowo ośmielił się wyrzec o pannie Lidzińskiej.

— Dziękuję... — odpowiedziała Hela — Nie będę jeszcze zapalała lampy. Poleżę sobie w ciemności, bo mnie głowa boli...

— To może herbaty zgotować, abo ziółka jakie, na bolenie głowy pomocne?...

— Nie, nie potrzebuję nic. Spać będę.

— A to niech se panienska śpi.

Dorulowa zamknęła drzwi ze stukiem i odeszła. Hela rozpalone czoło przycisnęła do poduszki.

Za oknem poświsływał żałośnie wiatr, hulając po gałęziach drzew.

W sieni młody, dzwiczny głos zawiódł nagle szeroko.

„Oj! Moja dziewczyno,  
Czemuś mnie nie chciała.  
Teraz mnie zabijają,  
Ty będziesz płakała“.

Hela wiedziała, że to śpiewa powołany do wojska młodszy brat Dorulowej, ale proste słowa piosenki zatargały dziewczyną tak silnie, jakby do niej były zwrócone.

Siadła na łóżku i twarz ukryła w dłoniach.

Za kilka dni Ludwik odjeżdża z Zalesinek, a za kilka tygodni może pojedzie do pola.

Odjedzie bez jednego dobrego słowa od niej, z żalem w sercu, z tem przekonaniem, że spotkał kobietę płytką i kapryśną, bezmyślną kokietkę, która go wabiła po to, by go odepchnąć!...

Przecież jej powiedział wyraźnie: „Omyliłem się na pani“... I jak ponuro patrzył wtedy. Takiego spojżenia nie widziała jeszcze u niego nigdy.

Nie! Tego tak zostawić nie można!

Kornelia!... No tak, cóż znaczy Kornelia?! Czy on temu winien, czy może ona, Hela? Takie narzucone poświęcenie bezcelowe jest i głupi!...

To nad Kornelią lituje się, a dla niego nie ma współczucia!... Pozwoli mu odejść, pozwoli mu mężczyź się i cierpieć!... Bo on cierpi, choć zęby zaciska i nie skarży się!...

Za dumny jest na to, żeby kwilić, jak sentymentalny amant, ale cierpi tem silniej!...

— Muszę się z nim zobaczyć! Niech się dzieje co chce. Powiem mu wszystko i niech on sam rozstrzyga!...

Hela zerwała się i gorączkowo zaczęła szukać zapalek na stole.

Drżącymi rękami zrzuciła jakąś książkę na podłogę, stłukła szklankę, ale wkońcu zapalki znalazła i zapaliła lampę.

W tej chwili dało się słyszeć delikatne pukanie do drzwi.

W Heli zakolało szybko serce. Może to on?...

— Proszę! — zawołała jakimś zmienionym, jakby zamierzającym głosem.

Drzwi otwarły się. Hela ze zdziwieniem zobaczyła przed sobą starszą kobietę, czarno ubraną.

Z łagodnej, świeżej jeszcze twarzy spojrzwały na dziewczynę jasne, serdeczne oczy Ludwika.

— Czy zastałam pannę Lidzińską?

— Tak jest, proszę pani! To ja nią jestem.

— A ja jestem Rażycka... Chciałam panią poznać. Słyszałam o pani tyle od Anielki Walczakowej i... od mego syna. Pani mi nie ma za złe tej mojej niespodziewanej wizyty, wszak prawda?...

Matka!... Więc to matka Ludwika ta kobieta ze słodkim uśmiechem i jego oczyma?...

Hela pospiesznie z rozbłyśnięciem nagle na twarzy rumieńcem podsunęła Rażyckiej krzesło.

— Proszę, proszę bardzo. Pani zechce usiąść... Och, jakże się cieszę!...

Była rzeczywiście równie ucieszona, jak zdumiona.

Pani Rażycka przyjrzała się jej nieznacznie, ale badawczo i rzuciła wokół kilka dyskretnych, lecz ciekawionych spojrzeń.

To, co zobaczyła, zadowoliło ją widać, bo w jej łagodnych oczach zamigotały ciepłe błyski.

— Niech pani powie szczerze. Dziwi panią to, że tutaj przyszedłam?...

— Oczywiście, trochę! Nie wiedziałam wcale, że pani ma przyjechać! Ale przedewszystkiem cieszę się bardzo, że panią poznać mogę!...

— Widzę z pani oczu, że pani mówi prawdę! Dlatego i ja będę szczerą. Wogóle nie lubię niczego obwijać w bawełnę...

Hela uśmiechnęła się. Ten rys charakteru odziedziczył widocznie syn.

— Czy domyśla się pani, dlaczego przyjechałam tak niespodzianie?

— Nie, proszę pani.

— Więc pani powiem... zaniepokoiły mnie listy Ludwisia...

Hela spuściła głowę, a pani Rażycka ciągnęła dalej, nie odwracając wzroku od twarzy dziewczyny.

— Niby nie pisał nic wyraźnie... Ale ja znam mego syna. Wyczułam, że mu coś bardzo silnie dolega. A nietrudno mi było domyśleć się, co... W poprzednich swoich listach wspominał o pani tak gorąco. Pani mnie rozumie, proszę powiedzieć szczerze?...

— Rozumiem. — szepnęła Hela.

— Widzi pani, całe moje szczęście, całe dobro na świecie — to moje dzieci. Inne matki marzą dla synów o świetnej karierze, ale ja pragnę tylko, żeby Ludwiś był szczęśliwym i żeby był dobrym człowiekiem.

Hela podniosła na nią oczy pełne uwielbienia i podziwu.

— Bodaj to mieć taką matkę!... — rzekła.

— Nie robię nic nadzwyczajnego, kocham po prostu moje dzieci i nauczyłam się odczuwać je i rozumieć. Proszę pani, sercem matki odgadłam, że mój chłopak cierpi. Dlatego zdecydowałam się na ten niezwykle krok, żeby zaradzić, jeżeli można. Czy można, panno Heleno? To od pani zależy...

Hela milczała wciąż z pochyloną głową.

— Anielka mówiła mi o pani tyle dobrego. Zresztą moje własne wrażenie... Wiem, że jesteś dzielną dziewczyną... Chyba nie należysz pani do tych, które przyrzekają, choć dotrzymać nie chcą... Więc proszę, powiedz mi, czy możesz pocieszyć mego chłopca?... Czy kochasz go?...

Przyciszonym, nieśmiałym dźwiękiem wybiegło to pytanie z ust matki Ludwika.

Hela spłoniona, zmieszana, drżąc, nic nie odpowiedziała.

Pani Rażycka serdecznym ruchem położyła dziewczynie rękę na ramieniu.

— Moje dziecko, mów szczerze, bez fałszywego wstydu. Jeżeli nie, to trudno, żalu mieć do ciebie nie będę. Miłości nakazać nie można. Powiedz, czy Ludwik jest ci obojętnym?...

— Nie!...

— A więc dlaczego męczysz siebie i jego, dlaczego marnujesz godziny, które szybko lecą? Ludwik odjedzie może wkrótce.

Łzy stłumiły głos matki Ludwika. Hela, nieprzepartym porywem serca wiedzioną, usta swoje do ręki pani Rażyckiej przycisnęła.

— I ja cierpię, ale nie mogłam...

— Dlaczego? Nie mówię, żebyście się od razu pobierać mieli... Ja przynajmniej nie jestem zwolenniczką tych przyspieszonych wojennych małżeństw. Czemuż jednak nie wyznać sobie uczucia, jeżeli ono istnieje?

— Nie mogłam...

— Dlaczego?... Czy Ludwiś obraził się czem może, rozgniewał? On lekkomyślny czasem i porywczy. Ale serce ma złote. Jeżeli zawinił, wybaczu mu. Wierzę, mi, kobiety dużo muszą i powinny wybaczać...

— Nie, on nic nie zawinił!...

— Więc cóż? Czy może nie jesteś wolna?...

— Jestem wolna...

— Zatem... jakąż przyczyną?!

— Powiem pani, powiem szczerze wszystko, jak jest... Ja się dowiedziałam, że jest jedna kobieta bardzo biedna, bardzo nieszczęśliwa, która syna pani kocha szalenie, choć beznadziejnie. I zlekąłem się, że mogę przejść po jej trupie i zatrzymałam się, powiedziałam sobie: nie!...

— Czy Ludwiś lubił tę kobietę kiedykolwiek? — zapytała pani Rażycka z jakąś trwogą w głosie — Widzisz, moje dziecko, mężczyźni...

— Ach, nie!... Ona zbyt upośledzona od natury, choć dobra, zająca, rozumna... To moja przyjaciółka i dlatego...

— Aha!...

Pani Rażycka wiedziała już, o kogo chodzi.

— To Kornelia Witowtówna, nieprawdaż?...

— Proszę pani, ja na to odpowiedzieć nie mogę, bo to moja tajemnica...

— A jeżeli ja tej tajemnicy dawno domyślałam się? To jest, przynajmniej zdawało mi się, że się domyślałam... Bo, moja droga panno Heleno, my chyba myliliśmy się obie. W każdym razie po części...

— O nie! Ja się nie myliłam! Niepodobna było się omylić!...

— A jednak... Kornelia wyszła zamaż!

Hela zerwała się z krzesła i z bezgranicznym zdumieniem spojrzała w twarz pani Rażyckiej.

— Co?!... Kornelia wyszła za mąż?!

— Tak jest. Byłam równie zdumiona...

— Kiedy?! Za kogo?!

— We wczorajszych dziennikach była wiadomość o jej ślubie z panem Stefanem Rogoziewiczem z M.

— Ale skądże tak nagle? Co to za jeden?!

— Nie wiem. Pytałam panią Łuskowską, bo Kornelia żyła z nią dobrze, ale i ona była zaskoczona tą niespodzianką. Mogła mi tylko tyle powiedzieć, że to jakiś inwalida, wdowiec z kilkorgiem dzieci. Po ślubie państwo młodzi wyjechali zaraz z Krakowa...

— Biedna Kornelka! Ona mnie przejrzała i chciała mi się usunąć...

Pani Rażycka zadumała się.

— Może tak, może nie... Może poprostu zmęczona była swoim życiem dotychczasowym, chciała mieć męża, dom, rodzinę. No i skorzystała z pierwszej zapewne sposobności, jaka się jej nadarzyła...

— Oby tylko była szczęśliwą. Zasługuje na to. Taka zająca, taka dzielna...

— I ja jej tego życzę z całego serca. Lubiałam bardzo Kornelię. Panno Helu, ale teraz... teraz to, co miało was rozdzielić, usunięte... Czy mam co powiedzieć Ludwikowi?...

Twarz dziewczyny zapłonęła różową, łuną rumieńca. Unikając wzroku matki Ludwika, Hela szepnęła:

— Proszę... proszę mu powiedzieć, że jabym bardzo pragnęła zobaczyć się z nim...

— — — — —  
Z łagodną senną powolnością prowincjonalną toczyła się po nierównym bruku dorożka, wioząca Rogoziewicza i jego młodą żonę.

Dorożkarz wioził ich dosyć długo przez ciche, uśpione ulice małomiejskie, aż wkońcu zatrzymał się już trochę poza miastem, przed piętrowym, białym tynkowanym, sztachetami ogrodzonym domem.

W mglistym powietrzu czarne, nagie gałęzie drzew rysowały się niewyraźnie i jakoś bardzo smutnie.

Naftowa latarnia przed domem świeciła mdłym blaskiem, wokół lampy tworzyły się migotliwe, tęcze koliska.

— Jesteśmy w domu — rzekł Rogoziewicz.

Wysiedli.

Z ciekawością i zarazem z jakimś lękiem spojrziała Kornelia na ten dom, który miał być odtąd jej przystanią życiową.

W jednym z okien świeciło się jeszcze.

— Cóż to? W pokoju jadalnym świeci się jeszcze? Widocznie dzieci nie śpią!

— O tak późnej godzinie? — zdziwiła się Kornelia.

— No, tak, naturalnie, Marcysia nie dopilnowała... To nicpoń dziewczyna! Będiesz z nią miała dosyć kłopotu, a najlepiej, odpraw od razu!

— Już ja sobie poradzę — upewniała go z lekkim uśmiechem Kornelia — a w tym wypadku dobrze, że dzieci nie śpią jeszcze. Będę się mogła zaraz z niemi zapoznać.

Otworzyła im drzwi zaspana, rozczochrana, bosa służąca, w niedopiętym, brudnym kaftanie i krzywo zawiązanej spódnicy.

Robiła wrażenie zupełnie skończonego w swoim rodzaju typu tak zwanego „kocmołucha“.

Ze zdziwieniem spojrziała, przyświecając kuchenną lampką z okopconem i ubitem u góry szkłem, na wchodzącą z jej panem kobietę.

— To moja żona, Marcysiu! — rzekł krótko Rogoziewicz — Jutro oddasz pani klucze i będziesz się we wszystkim stosowała do jej rozkazów.

W tłustej, podzióbanej śladami ospy twarzy dziewczyny małe, bure oczy błysnęły uragiiwem, niechętnym zdumieniem.

Pochyliła się jednak do ręki Kornelii.

— Postaw lampkę — mówił dalej Rogoziewicz — i poznoś rzeczy z dorożki. Zdejm okrycie, Kornelko, albo lepiej nie, rozbierzesz się w pokoju. Brr! Tutaj zimno... i wszystko ma taki zaniedbany wygląd, ale któż miał czuć nad tem...

Rzeczywiście już w przedpokoju można było zaobserwować brak wszelkiej staranności o czystość i porządek. Wieszało na rzeczy przekrzywiło się,